

Działamy, by zachować krajobraz. Rozmowa z Krzysztofem A. Worobcem

Czym zajmuje się stowarzyszenie „Sadyba”?

Krzysztof A. Worobiec: Już w nazwie – Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Krajobrazu Kulturowego Mazur „Sadyba” – jest w zasadzie zawarty program naszego działania. Stowarzyszenie powstało dwa lata temu. Byliśmy wtedy już tak zdeterminowani, że postanowiliśmy przeciwdziałać niszczeniu krajobrazu. Pierwszym impulsem było oczywiście to, co dzieje się najbliżej nas – wycinanie drzew przydrożnych i burzenie ponad stuletnich mazurskich budynków – ale oczywiście swoje działania pragniemy rozszerzyć na obszar znacznie szerszy niż Mazury. Kiedyś, gdy jeszcze nie istniało stowarzyszenie, interweniując w sprawie wycinki drzew czy też niszczenia cennej zabudowy, gdy dzwonił się do różnych instytucji, spotykaliśmy się zawsze z pytaniem: „a co to was obchodzi?”. Stwierdziliśmy wtedy, że musimy się jakoś zorganizować i w konsekwencji tego powołaliśmy stowarzyszenie, którego celem jest ochrona krajobrazu kulturowego, czyli tego wszystkiego, co stworzył człowiek. Na Mazurach jest to tym bardziej istotne, gdyż dzieło człowieka istnieje na tle przepięknego krajobrazu, który stworzony został przez lodowiec około 10 tysięcy lat temu. Obecnie znika wiele obiektów – domów, stodół, kapliczek, cmentarzyków – przebudowywanych (objanych sidingiem, styropianem) albo wyburzanych. Znikają one w zastraszającym tempie. Wcześniej na Mazurach zupełnie zniknęły z krajobrazu wiatraki czy kuźnie, bo nikomu nie były potrzebne, a obecnie rozbierane są stodoły, szopy i obórki. Drzewa przydrożne są wycinane, bo ponoć stanowią zagrożenie dla kierowców. Trzeba więc podejmować działania ochronne. Wszystkiego z pewnością nie da się już ocalić, ale zawsze można zabezpieczyć najważniejsze elementy krajobrazu kulturowego.



Jezioro Śniardwy – na wysypanym gruzie utworzono trawnik. Fot. Krzysztof A. Worobiec

Dlaczego Mazury? Wiem, że nie pochodzicie stąd, ani Pan, ani Pańska żona. Przyjechaliście z innych części kraju. Dlaczego akurat ten region wybraliście?

Zrządził o tym przypadek. Przyjechaliśmy z tzw. Ziemi Zachodnich. Żona pochodzi z Wrocławia, ja z Zielonej Góry. Później mieszkaliśmy w Berlinie, i właściwie z Berlina się tutaj przeprowadziliśmy. Z miasta prawie 4-milionowego, zaraz po obaleniu Muru Berlińskiego, do wioski, w której mieszkają zaledwie 4 osoby. Nie było to jednak działanie programowe, po prostu przypadek. Przyjechaliśmy tutaj kiedyś na wakacje, spodobało nam się. Był to rok 1989. Trzy lata później kupiliśmy opustoszałe gospodarstwo z jednym marnym budynekciem murowanym i niewielką obórką. Mieliśmy bazę, gdzie mogliśmy przyjeżdżać. A przyjeżdżając, zaczęliśmy odkrywać krajobraz, zaczęliśmy się uczyć tego wszystkiego, co nas tutaj otacza. Zaczęliśmy poznawać ludzi i historię regionu. I zaczęło nas to wciągać. Jadąc kiedyś do Warszawy, odkryliśmy rozsypującą się drewnianą chałupę z tabliczką „na sprzedaż”, a ponieważ mieliśmy w planie remont obórki, zdecydowaliśmy się kupić ten budynek jako tani materiał rozbiórkowy. Ale gdy zobaczyliśmy, z jakim rodzajem budownictwa mamy do czynienia, jak prosta a zarazem przemyślana jest to konstrukcja, postanowiliśmy ją przenieść do Kadzidłowa, tam odtworzyć, i tak powstała „Oberża pod Psem”. Gdy Oberża już istniała, to mieliśmy się z czego tutaj utrzymać i osiedliśmy w Kadzidłowie na stałe. Wówczas narodziła się w nas pasja: zaczęliśmy interesować się drewnianym budownictwem, a w konsekwencji przenosić kolejne budynki. W ten sposób uratowaliśmy ich pięć, w tym jeden 200-letni, po którym, gdyby nie nasza działalność, obecnie nie byłoby śladu. Zespół tych obiektów wpisany jest do rejestru zabytków jako „Osada

Kulturowa w Kadzidłowie”.

Co w tej chwili najbardziej zagraża przyrodzie Mazur?

Już w latach 60. były plany powołania Mazurskiego Parku Narodowego. Obecnie mamy 23 parki narodowe w Polsce, ale wciąż nie ma Mazurskiego, czyli tego, którego powołanie prof. Władysław Szafer proponował prawie 50 lat temu. Jest za to Mazurski Park Krajobrazowy, który powinien chronić przyrodę w określony sposób, jednakże w tej chwili jego sytuacja jest dosyć dramatyczna. Istnieje konflikt z lobby leśno-myśliwskim, podobny do tego, jaki ma miejsce w Puszczy Białowieskiej. Wielu ludzi żyje tutaj z leśnictwa, więc leśnicy mają dość silną pozycję, właśnie z tego kręgu wywodzi się wielu radych gminy Ruciane-Nida. To właśnie oni straszą lokalnych mieszkańców, że jeżeli powstanie park narodowy, to wielu ludzi straci zatrudnienie, nie będzie można drzew wycinać, drwale stracą pracę, miejscowa ludność nie będzie mogła chodzić na grzyby, zbierać poroża, itd. Trwa cały czas straszenie tym parkiem narodowym (zresztą parkiem krajobrazowym też).



Wycinka alei i spalanie opon – z tym walczymy. Fot. Krzysztof A. Worobiec

Ale wracając do pytania, park krajobrazowy powołany jest tutaj w określonym celu. Na terenie Mazurskiego Parku Krajobrazowego występuje wiele cennych siedlisk roślinnych, są ostoje ptaków, itd. Ja nie jestem biologiem, więc nie mogę wiele opowiedzieć o szczegółach. W każdym razie jest wiele cennych miejsc, są rezerваты ścisłe, ale z drugiej strony są to tereny bardzo atrakcyjne turystycznie, bardzo popularne, a to powoduje znaczną antropopresję. Każdą działkę chce się wykupić, zagospodarować, a najlepiej zamienić w piaszczystą plażę z widokiem na jezioro. Niszczone są brzegi jezior, gruzami zasypuje się trzcinowiska. Nad brzegami powstają hotele i dachy, buduje się byle gdzie i byle jak. Na jeziorach i rzekach pływają w lecie tysiące różnego rodzaju łódek, a jeszcze gorsze są motorówki i skutery, które strasznie hałasują, płoszą ptaki i niszczą rośliny, poza tym dla nich buduje się nawodne stacje paliw. W dodatku ostatnio Wojewódzki Sąd Administracyjny stwierdził, że na obszarze parku krajobrazowego można wyciąć 30 hektarów lasu, by powstała żwirownia, ponieważ jest ona inwestycją celu publicznego. Z kolei NSA stwierdził, że ważniejsze od przyrody jest konstytucyjne prawo własności, czyli każdy może zabudować swoją działkę. Właściciele działek, którzy chcieliby je zamienić z rolnych na budowlane, mają duże szanse zrobienia interesu życia. A czym grozi dla przyrody oraz krajobrazu kulturowego np. zamiana 15 ha gruntów rolnych na działki rekreacyjne – nietrudno sobie wyobrazić.

Działania na rzecz ochrony przyrody mazurskiej są mocno popierane przez ludzi kultury: pisarzy, malarzy, aktorów. Jak Pan uważa, dlaczego ten region urzeka ich tak bardzo?

Dzieje się tak m.in. przez kontakty osobiste. Te osoby, które znamy, prosimy o wsparcie naszych działań, wykorzystujemy je także do zbierania podpisów w środowiskach artystycznych. Ale wielu artystów mieszka na Mazurach lub tutaj przyjeżdża. Jest Leśniczówka Pranie, gdzie przyjeżdżał Gałczyński. Odbywa się tam szereg koncertów, spotkań. Jest to bardzo prężny ośrodek, a jego dyrektor – Wojciech Kass, zaprasza tam znakomite osobistości świata kultury. W ten sposób wiele osób odkrywa piękno Mazur. A ponieważ są to ludzie wrażliwi, reagują na to, co się tutaj z przyrodą dzieje, a że dzieje się nienajlepiej, to już wcześniej mówiliśmy. Jest jakaś więź między tymi ludźmi a ziemią mazurską. A dlaczego akurat Mazury a nie np. Suwalszczyzna? Wydaje się, iż z prozaicznego powodu. Tutaj jest bliżej z Warszawy, gdzie mieszka większa część ludzi kultury. A poza tym Mazury zawsze były modne w środowisku artystycznym, np. Krzyże, taka „STS-owska” wioska, gdzie przyjeżdżali Osiecka, Lipińska, Pietrzak, Wrzesińska czy Markuszewscy, a za nimi inni. W innej wiosce osiedlili się Jan Krenz i profesor Andrzej Strumiłło – wielki propagator mazurskiej przyrody i

autor książek na ten temat. Oni wszyscy kochają Mazury, mają tu domy, i dlatego na Mazurach są już prawie od pół wieku. Ale, szczególnie ostatnio, z niepokojem obserwują zmiany w wyglądzie wsi czy dewastację przyrody wokół nich, i nie godzą się na to. Ci wszyscy ludzie tu są i zawsze chętnie wpierają działania ochronne, piszą artykuły, wypowiadają się publicznie czy podpisują listy otwarte.

Wasze działania rozpoczęły się interwencjami w sprawie wycinki drzew przydrożnych. Na Mazurach są to z reguły zabytkowe aleje. Jak w tej chwili wygląda ten problem?

Walka z wycinką drzew przydrożnych jest obecnie naszym głównym działaniem. Po zmianie ustawy o ochronie przyrody pojawił się w niej przepis dający drogowcom uprawnienia do wycinki drzew stanowiących zagrożenie dla ruchu drogowego, niszczących infrastrukturę drogową, itd. I zaczęła się wielka masakra drzew. Problem ten niepokoił mnie już wcześniej. Gdy jednak zobaczyłem drogę do Mikołajek i tysiące wyciętych drzew leżących pokotem, przeraziłem się i razem stwierdziliśmy, że tak dłużej być nie może, że trzeba zacząć coś robić w tej sprawie. W 2004 roku wystosowaliśmy list otwarty do organizacji pozarządowych, potem rozesłaliśmy go do sejmu, senatu, środków masowego przekazu. Głównym celem była próba zmiany niekorzystnego zapisu w ustawie, a po drugie – chęć nagłośnienia problemu. Ta pierwsza rzecz nam się na razie nie udała, ta druga – tak. Przynajmniej w naszym regionie sprawa stała się głośna. W tamtym roku ukazało się ok. 150 artykułów prasowych na ten temat. Nie udało się niestety zmienić ustawy, chociaż byliśmy bardzo blisko. W poprzedniej kadencji sejmu nawiązaliśmy kontakt z posłanką Joanną Sosnowską, która złożyła projekt nowelizacji ustawy. Została powołana 10-osobowa podkomisja sejmowa, w której pracowałem m.in. ja oraz Zenon Kruczyński z Towarzystwa Ochrony Krajobrazu, Główny Konserwator Przyrody, przedstawiciel Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad. To był początek lipca ubiegłego roku. Udało nam się przygotować nowelizację ustawy. Sejmowa Komisja Ochrony Środowiska tę nowelizację przyjęła, ale niestety nie doszło do głosowania, gdyż upłynęła kadencja sejmu. Teraz próbujemy powrócić do tej sprawy, ale sejm jest zajęty czym innym. Z pomocą przyszła nam częściowo nowa ustawa o ochronie środowiska. W myśl jej zapisów drogowcy, by ściąć drzewo, muszą otrzymać zgodę wójtów, burmistrzów czy prezydentów miast. Nie jest to jednak skuteczna ochrona, gdyż świadomość ekologiczna urzędników jest bardzo niska. Ale w związku z tym, że sprawa stała się bardzo głośna, drogowcy są teraz ostrożniejsi w swoich działaniach, przynajmniej w naszym województwie.



Krzysztof Worobiec. Fot. Andrzej Cudo

Na koniec naszej rozmowy chciałbym jeszcze zapytać, czym jest dla Pana dzikie życie?

Czym jest dzikie życie? Jest to chyba najtrudniejsze pytanie. Dzikie życie, dzika przyroda – to miejsca przyrodniczo cenne, nieprzekształcone. Dzikie życie to przyroda taka, jak np. w Białowieży. U nas również jest parę takich miejsc. Nie potrafię tego zdefiniować w tej chwili w głębszym sensie. Podpowiedz mi... [zwraca się do przysłuchującej się rozmowie żony, Danuty]

Danuta Worobiec: Dla mnie po prostu dzikość to wolność...

No właśnie, dzikie to wolne, niczym nieograniczone, pierwotne.

Dziękuję za rozmowę.

Kadzidłowo, 9 lutego 2006 r.

Krzysztof A. Worobiec urodził się w 1953 r. w Świebodzinie. Mieszkał i uczył się w Zielonej Górze. Ukończył geografię na Uniwersytecie Wrocławskim, studia te kontynuował także w Frei Universität w Berlinie Zachodnim. Po raz pierwszy przyjechał na Mazury w 1989 r., od 1999 r. mieszka na stałe w Kadzidłowie, gdzie wraz z żoną Danutą stworzyli osadę kulturową, złożoną z pięciu obiektów architektury drewnianej. Od powstania w 2004 r. Stowarzyszenia na rzecz Ochrony Krajobrazu Kulturowego Mazur „Sadyba” pełni funkcję jego prezesa. Zajmuje się fotografią i malarstwem. Wraz z żoną jest laureatem tegorocznej nagrody „Przyjazny środowisku Warmii i Mazur”.